



Charlie Chaplin w filmie „Dzisiejsze czasy“

Z Ż Y C I A E K R A N U

Nowy film Chaplina „Dzisiejsze czasy“. — Wielcy czarodzieje i — mała czarodziejka.

Czy Chaplinowi potrzebne są aż „dzisiejsze czasy“ poto, ażeby nie móc zgodzić się z istniejącą rzeczywistością? Przecież odkąd go pamiętamy, zawsze był z nią skłócony i nigdy nie znajdował zrozumienia wśród zimnych, bezlitosnych ludzi, którzy za jego ofiarne serce odpłacali mu drwinami i niewdzięcznością. To też, gdy po uszczęśliwieniu kogoś, zazwyczaj odchodził samotnie w świat, mając za jedyne oparcie swą wataf, wyginającą się laseczkę, kiedy odchodził — widzieliśmy to — na nową tułaczkę, niepowodzenia i rozczarowania — budził w nas straszną żalność i lzy wyciskał nam z oczu. Ale „dzisiejsze czasy“ zahartowały widać i jego. Jest wprawdzie nadal wrażliwy na niedolę ludzką (stara się pomóc biednej sierocie), ale w jego przeżyciach i przygodach nie ma już tyle pierwiastka uczuciowego. Cha-

Shirley Temple w filmie „Złotowłosa Brzdąc“.



rze staje się bardziej racjonalistyczny, nawet... przystosowuje się do warunków (celowo wchodzi w kolizję z prawem, ażeby dostac się powtórnie do więzienia, gdzie mu jest najlepiej). Inna kwestja, że Chaplin, skrajny indywidualista, jakim był zawsze, musi czuć się w „dzisiejszych czasach“ jeszcze niepewniej niż zwykle, nie mogąc pochwycić rytmu zmechanizowanego życia, nie znajdując dla siebie miejsca w świecie zautomatyzowanej pracy fabrycznej, doprowadzającej do obłędu, w świecie, w którym jest się albo bezrobotnym albo strajkującym, słowem — w świecie, gdzie najbezpieczniejszą i najpewniejszą przystanią jest — więzienie. Nie, stanowczo dzisiejszy świat nie jest mądrze zorganizowany i trudno jest w nim jakoś urządzić, zwłaszcza — biedakowi. Ale dziś Chaplin podchodzi do tych spraw bez dawnego dramatycznego nastawienia (śmiech przez lzy). Jego satyra jest dziś raczej złośliwie uśmiechnięta i przeplatana wesołymi epizodami, bez „głębszego znaczenia“. Dawniej śmieszny i jakże wzruszający włóczęga, dziś nie jest już tylko wyzyskiwany; potrafi też przyjmować pomoc, nietylko ją dawać, a odchodząc w świat — tym razem już nie samotnie — nie budzi już dawnego współczucia, a nawet odnosi się wrażenie, że to on jest tą stroną silniejszą, dodającą otuchy dziewczynie, zniechęconej do życia. A że w dzisiejszych czasach biedakom pozostaje jedynie gościnnie, prowadzący w nieznaną, oraz życie z dnia na dzień, no to... „niech żyje wolność!“ Przecież tę formę życia bohaterowie René Clair'a wybrali dobrowolnie, zakosztowawszy przedtem wszelkich rozkoszy bogactwa i dobrodziejstw społecznych.

Właśnie początek (fabryka) i wspomniane wyżej zakończenie „Dzisiejszych czasów“ są jakgdyby powtórzeniem filmu René Clair'a („Niech żyje wolność!“), ale podane w formie przystępniejszej, dla wszystkich zrozumiałej; jest to jakgdyby „Clair dla ubogich“, oczywiście — ubogich duchem t. j. mniej intelektualnie wyrobionych. Może też przez porównanie z Clair'em film Chaplina traci, gdyż jego „głębsze znaczenie“ zbyt często przeplatane jest typowym komizmem amerykańskim (obsuwające się belki, wpadanie do wody i t. p.). Nie znaczy to jednak, że niema w nim scen kapitalnych, jak naprz. ta pieczona kaczka, uno-

szona wciąż przez tłum tańczących, nie mogąca dobrać do konsumenta (w lokalu dancingowym); albo pochod, wyrastający nagle za plecami Charlie, w chwili gdy wymachuje znalezione przypadkową chorągiewką, co sprawia wrażenie, że kroczy na jego czele, i zato zostaje aresztowany; albo — mechaniczne karmienie. Ale też dużo scen się dłuży i irytuje swoim „clownizmem“ (scena z majstrem, nie mogącym wydstać się z trybów maszyny).

Chaplin, który sam filmy swe reżyseruje i pisze do nich scenariusze i ilustracje muzyczną, może też sobie pozwolić na trzymanie się własnych zasad w wyborze formy, zupełnie nie krępując się tem, co obowiązuje innych. Czy ktoś bowiem odważyłby się dzisiaj zrealizować film niemy? Chyba — nie. Chaplin jednak konsekwentnie trzyma się formy, wyrażając swą pogardę dla dźwiękowców — piosenką śpiewaną w dancingu, której słowa są bez sensu, a

Scena z filmu: „Wielki Czarodziej“.



Panie powitały z radością...

mimo to wywołują zachwyt publiczności. Poczóż więc słowa? — zdaje się mówić Chaplin, skoro ma się gest i mimikę. Przy wybitnie pantomimicznym charakterze gry Chaplina, on sam może się bez słów obejść, ale już tam, gdzie wchodzi inne osoby, niemożliwie ich razi i jest stanowczo anachronizmem.

Sam Chaplin, który, zdawałoby się, jako aktor jest unikatem, ma jednak kogoś, kto w odpowiednim środowisku mógłby stać się jego godnym partnerem, a może i — rywalem. Jest to nasz Dymśa. Proszę zwrócić uwagę na scenę śpiewu i tańca w lokalu dancinowym. Przecież to jest groteska w czystym stylu, kreacje, w jakich Dymśa zachwycał nas już przed laty, jeszcze w Qui-pro-quo. I pomyśleć, że Chaplin jest wszechświatową sławą, jest „wielkim czarodziejem”, hipnotyzującym tłumy, a o Dodku poza Polską nikt nie słyszał.

Film sowiecki, który nas doszczętnie znudził ciągłą apoteozą swych „udarników”, pokazał nareszcie inne oblicze.

„Wielki czarodziej” (real. Kuleszowa) jest bardzo ciekawą próbą formalną, gdyż charakter tego scenarjusza specjalnie odpowiada wymogom kinematografii, jedynej sztuki, mogącej łączyć dowolnie akcję w czasie i przestrzeni. Tutaj mamy trzy wątki akcji, rozwijające się jednocześnie: 1) rzeczywistość, 2) rzeczywistość przetransponowaną na literaturę i 3) kształtowanie się rzeczywistości pod wpływem literatury. Taka wielopłaszczyznowość wymaga też różnych perspektyw, z których ogląda się dany odcinek i widzi go mniej lub więcej szczegółowo, czyli — wymaga różnego stylu filmowego.

Rzeczywistość więc ujęta jest najzupełniej realistycznie: życie więziennicze, praktyki „dobrego” naczelnika więzienia, wygrywającego słabość i romantyzm jednego z więźniów (literata, obdarzonego przywilejami) na niekorzyść jego towarzyszy — wszystko to pokazane jest metodą naturalistyczną, z przydługimi „razsudkami” i lubowaniem się w studjach ludzkich twarzy, które są istniami mapami przeżytych cierpień (James Valentine, jego matka, murzyn).

Opowiadanie pisarza, które jest fantazją na temat rzeczywistości, jej zmyślnym „dalszym ciągiem”, podane jest w formie... parodji filmu amerykańskiego (szablonowy konflikt, z morałem i happy endem), ale filmu sprzed lat 30 (technika zdjęć i sposób gry aktorskiej, dekoracje). Ta część filmu jest niema, ilustrowana muzyką i objaśnieniami, zamiast napisów. Styl takiego dawnego filmu został tu znakomicie podchwyczony i czasem ma się wrażenie, że patrzy się na prawdziwy „zabytek”, wydobyty z archiwum filmowego.

Wreszcie trzeci odcinek filmu potraktowany jest schematycznie: dekoracje uproszczone do minimum, zdjęcia najczęściej odcinkowe (np. zamiast sklepu — sprzedawczyni za ladą, na tle pudełek), wypełniające cały ekran, albo też tylko operowanie światłem (cień przyjaciółki na ścianie, cień Bena widziany przez otwarte drzwi). Dobry, treściwy dialog.

Przeplatanie się wzajemne tych trzech wątków tworzy w sumie film w przemyśle oryginalny, w wykonaniu ciekawy, ale w intencji — niewyraźny. Przedewszystkiem, literatura i jej kapłan zostali tu zdeprecjonowani (a nie wiadomo, czy to było zamiarem autora). Literatura, uważana przez czytelnicką za „wielką pocieszycielkę”, właściwie ją tylko zbałamucila, bo może gdyby nie skonstatowanie przepaści, dzielącej rzeczywistość od marzeń, snutych pod wpływem lektury, nie doszłoby do popełnienia zbrodni. Pisarz, wyżywający się w twórczości, mimo najszczerzych chęci, nie posiada dość sił i hartu ducha do pożytecznego działania. Na placu pozostaje więc tylko najokrutniejsza rzeczywistość,

pojawienie się na rynku kosmetycznym dwóch nowych preparatów „Barwanowa—Heza” i „Renowator—Miaflor”. Ukazanie się tych preparatów w okresie, w którym kwestja barwienia włosów jest tak niezmiernie aktualna i gdy praca zawodowa Pań niemało przysparza siwych włosów, jest prawdziwym dobrodziejstwem nowoczesnej kosmetyki. Od tej chwili Panie pozbyły się jednej z najważniejszych trosk, by włosy nie straciły koloru, miękkości i puszystości, gdyż „Barwanowa—Heza” i „Renowator—Miaflor” potrafiły zwycięsko przeciwstawić się tym kłopotom.

Działanie nowych preparatów jest zadziwiające, „Barwanowa — Heza”

barwi szybko i dokładnie już po jednorazowym użyciu włosy wyblakłe i siwe na trzy zasadnicze odcienia: blond, châtain i czarne. Drugi z preparatów „Renowator—Miaflor” przywraca włosom posiwiąłym a nawet siwym, dyskretnie, po kilkurazowym użyciu, ich pierwotny odcień oraz miękkość i puszystość.

Paniom, którym specjalnie zależy, by niepodpadająco otrzymały pierwotny kolor włosów, polecamy „Renowator—Miaflor”.

Szczegółowy opis użycia znajdą Panie wewnątrz opakowania preparatów „Barwanowa—Heza” i „Renowator—Miaflor” wyrabianych przez firmę HENRYK ŻAK w Poznaniu.

stość, przed którą niema ucieczki ani obrony.

— Tyle pesymizmu w sowieckim filmie? — spytacie państwo. Ano, tak, ale... akcja rozgrywa się w r. 1899 i — co najważniejsza — w Ameryce. Bo w Rosji, oczywiście (!) o takich podstępnych więziennych metodach nikt nie miał i nie ma pojęcia, a i naiwne ekspedientki ulegające cynicznemu szeryfom, mogą istnieć tylko w kapitalistycznym — burżuazyjnym kraju. Dzisiejsi sowieccy widzowie napewno w to wierzą, a przynajmniej to im do wierzenia podają. Dlatego prawdopodobnie „Wielkiego czarownika” umieszczono po tamtej stronie oceanu, i przez kurtuazję przeniesiono akcję do r. 1899.

Prócz wykonawcy roli pisarza, który nieznośnie deklamuje, gra wszystkich aktorów — pierwszorzędna. Kto się interesuje kinematografią nie tylko jako rozrywką, tego „Wielki czarownik” napewno zainteresuje.

Zato „Złotowłosa brzdąc” to już tylko rozrywka. Jeszcze jedna bajeczka, w której kopciuszek zwycięża, a życie układa się łatwo i gładziutko. To też sam film jest gorszy od innych z małą czarodziejką (Shirley Temple), potężniejszą od wszystkich „wielkich czarodziejów” Zachodu i Wschodu. Cóż dodać o niej jeszcze? Wszyscy wiemy, że dziecko to posiada fenomenalny wdzięk, że jest niezwykle muzykalne i utalentowane. W tym filmie jednak nie ma już tej prostoty, którą tak w niej ceniliśmy. Dotychczas zawsze wywierała wrażenie, że sama bawi się odtwarzaniem swych ról, zaś tutaj — znać pewien przymus, tresurę, pracowite godziny, z których ograbiono jej bez troskie dzieciństwo, ażeby mogła dla nas tańczyć i śpiewać i bez końca sycić nasze oczy widokiem swej rozkosznej osobki. To też przyjmując ten dar dziecka, czujemy się trochę zawstyżeni.

Stef. H.



Scena z filmu: „Wielki Czarodziej”